

Gdzie się rodzą baśnie?

Odkąd tylko pamiętam, nawet gdy byliśmy z bratem jeszcze bardzo mali, mama ciągnęła nas zawsze na jagody do lasu, na skałki jurajskie czy na przedłużające się do wieczora spacerów nad jeziorem gdzieś koło Brodnicy. Nie było wakacji, w które nie wyjeżdżalibyśmy razem. I nie po to, żeby leżeć do góry brzuchem - co to, to nie. Bez względu na wszelkie protesty, mama przeciągała nas zawsze po całodziennych trasach i dopiero późnym popołudniem ściągaliśmy do schroniska na obiadokolację (też bez żadnych delikcji - zupka chińska we wszystkich możliwych smakach uchodziła w tamtym czasie za rarytas).



Fot. Monika Stasiak

Później, gdy byłam nieco starsza, mama prawie nigdy nie protestowała, gdy wypuszczałam się na długie samotne spacerów do lasu czy na zasypane śniegiem pola. Dla mnie samej było to zupełnie naturalne. Nigdy nie pomyślałabym, że może być inaczej. Z czasem jednak okazało się, iż ta „beztroska” mamy ściągają na nią gromy ze strony różnych babć i cioć. „Nie boisz się puszczać jej samej do lasu? Przecież coś może się jej stać”. A ona odpowiadała zawsze z takim samym spokojem, że w lesie nic złego mi nie grozi i dużo większe niebezpieczeństwa czyhają na ludzi w mieście. Dlatego nigdy właściwie nie rozumiałam, co to znaczy bać się ciemności, dzikich zwierząt i burzy. Nawet jeśli odczuwałam strach, był to (choć wtedy na pewno tego w ten sposób nie określałam) strach metafizyczny - rodzaj uroczystej powagi, z jaką moi przodkowie musieli wymawiać słowo „Puszcza”, zaś górale określali niegdyś niedźwiedzia znaczącym „On”. Czasem tylko, gdy nie byłam pewna, kto nadchodzi leśną drogą, chowałam się ufnie za jakimś kamieniem lub drzewem, niczym bohaterka baśni „Jarzębinka”.



Fot. Monika Stasiak

Tak, mój wszechświat był wtedy bardzo baśniowy. Samotne drzewa o dziwnych kształtach budziły żądną fantastycznych historii wyobraźnię, studnie na podwórkach zrujnowanych domów skrywały przejścia do niezwykłych krain, zaludniony dziesiątkami magicznych istot las wydawał się nie mieć końca, zaś bzy nasycające swym mocnym zapachem powietrze majowego wieczora, sprawiły, iż poznałam i pokochałam znaczenie słowa żal.

Jeszcze później zorientowałam się, że nieskończone przestrzenie wokół mojego domu nie są aż tak bezkresne, jak mi się wydawało, a wszystkie te na pozór nietknięte ludzką stopą miejsca, zwykle przecięte są jednak jakąś drogą albo skrywają dzikie wysypiska śmieci. Byłoby teraz pewnie nadinterpretacją twierdzić, że właśnie owa cywilizacyjna rysa na wspomnieniach wyniesionych z dzieciństwa przesądziła o późniejszym podejściu do przyrody. Zresztą nawet mając jej świadomość, do tej pory znacznie bezpieczniej i bardziej swojsko czuję się w lesie niż w mieście, nie będąc w stanie znaleźć w miejskiej przestrzeni niezbędnego spokoju i ukojenia. Za dużo tam wszystkiego - dźwięków, ruchu, jaskrawych światła. Migotliwość i rozedrganie miejskiego krajobrazu w pierwszym momencie mogą przyciągać, ale po chwili okazują się męczące.

A przecież dokładnie takie - migotliwe i rozedrgane, są bajki, jakie serwują dziś dzieciom kanały telewizyjne, podobno z myślą o nich stworzone. Roztrzęsione do tego stopnia, że w trakcie emisji jednego z odcinków „Pokemonów” duża grupa japońskich dzieci doznała ataku epilepsji. Nawet dla nich - wychowanych wszak w kulturze szybko przeskakujących po sobie obrazów - to było zbyt wiele. Od tamtej emisji minęło już kilka lat. Być może dziś żadnych napadów by nie było. Nie tyle dlatego, że twórcy bajek są bardziej uważni, ile z tego powodu, że dziecięce zmysły skutecznie już ewoluowały do postrzegania świata wypełnionego kakofonią dźwięków, zbiorem krzykliwych kolorów i gwałtownie zmieniających się sekwencji zdarzeń.

Zmienił się chyba jednak nie tylko karmiony telewizją narząd wzroku. Zmianie uległa też treść bajek, które nie wypływając już z lasów i skał, stały się wierną kopią zurbanizowanego świata dorosłych.

Wspomniane tu pokemony – choć nie do końca wiadomo, czym właściwie są – zastąpiły bohaterom serialu wszystko, począwszy od domowych pupili, a na dawnych mitycznych stworach i świętym Mikołaju kończąc (gdybyście mieli wątpliwości, zapewniam – Mikołaj jest pokemonem). Bohater jednego z niedawnych hitów kinowych „Tron. Dziedzictwo” przenosi się nie do Nibylandii, Narni czy Śródziemia, lecz do świata gier komputerowych. Pełna niezwykłych przygód noc może spotkać dzieciaki nie w lesie na biwaku, ale... w muzeum.



Fot. Monika Stasiak

Baśnie – takie prawdziwe, starodawne – jeśli w ogóle w wersjach kinowych i telewizyjnych powstają, są zwykle reprodukcjami kiedyś już napisanych historii. Bo gdzie właściwie mogą skrywać się elfy i smoki, skoro każda piędź świata została już odkryta i opisana? Zresztą nawet w obrębie tego podzielonego na fragmenty świata, dzieci poruszają się nie po ostatnich skrawkach dzikiej przyrody, ale w zaklętym kręgu między szkołą, domem i centrum handlowym. Dla dzisiejszych dzieci nie tworzy się baśni – tworzy się za to strategie marketingowe, by wychowywać je na dobrych konsumentów. *Na tym polega magia Pottera / Że bardzo zręcznie pieniądze zbiera* – przekonuje Janusz Reichel w jednej ze swych ballad.

Magiczne sztuczki świata konsumpcji nijak mają się do wielkich czarów, jakie rozgrywały się przed oczami braci Lwie Serce. Baba Jaga nie jest już uosobieniem archetypu Staruchy, która prowadzi bohaterów przez kolejne etapy podróży inicjacyjnej, lecz wyprodukowaną w Chinach maskotką z długim nosem, wraz z Czesiem z kreskówki „Włatcy Móch” zasilającą szeregi plastikowych potworków. Element świętej grozy w obliczu Nieznanego, jaką dawny gawędziarz usiłował przekazać słuchaczom, zastąpił strach przed zbrutalizowanymi tego Nieznanego symbolami: krwiożerczym wilkiem, psychopatycznym mordercą czyhającym w gęstych zaroślach czy armią zombie. „Prawdziwe historie” – Czerwonego Kapturka, Siedmiu Krasnoludków i bóg wie kogo jeszcze – stanowią próbę dopasowania niezrozumiałych już obrazów do wrażliwości współczesnego widza (nie do końca wiadomo – dziecka czy dorosłego).

Byłam znów niedawno na Jurze. Mimo postępującej presji antropomorficznej, ciągle jeszcze można zatracić się tam w baśniowej ciszy zawieszonyj wśród skał o fantastycznych kształtach i głogowych zarośli. W bukowym zagajniku z przybitej ludzką ręką tabliczki został tylko kawałek: „Wstęp Zab...”. Wyobrażam sobie natychmiast, że to o „Wstęp Zab” chodzi i niemal widzę Żabiego Króla, siedzącego na polanie w kręgu poddanych. Bo baśń, żeby wzrastać, potrzebuje przestrzeni i nie zadowolony się z pewnością przestrzenią wirtualną. Wąskie ulice i zamknięte klatki placów zabaw rodzą takie właśnie – ograniczone, zawsze zbyt ciasne historie. Żywe słowo, żeby funkcjonować, potrzebuje źródła – musi mieszkać w gałęziach starej wierzby, wplatać się w końskie grzywy na łąkach, a wieczorami snuć dymem z ogniska ku gwiazdom. Dlatego zamiast ubolewać, że nasze dzieci nie

zachwycają się baśniowym światem, który znamy z dzieciństwa, wyłączmy telewizory i komputery, zostawmy za sobą, choć na chwilę, zasięg sieci komórkowych i pozwólmy im samym te baśnie odkryć.

Monika Stasiak